

ROLA

Rok IV. Kraków, 30 października 1910 r. Nr. 44.

TYGODNIK OBRAZKOWY NA NIEDZIELĘ KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Przedpłata: Rocznie w Austryi 4 korony, półrocznie 2 korony; — do Niemiec 5 marek; — do Francyi 7 franków; — do Ameryki 2 dolary. — **Prenumeratę** przyjmuje **wyłącznie** Administracya »Roli«, Kraków ulica Garncarska l. 1. Cena drobnych ogłoszeń 30 halerzy za wiersz czteroszpaltowy. — Numer pojedynczy 10 halerzy. Adres na listy do Redakcyi i Administracyi: **Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.**

Dzień Zaduszny.

Kościół katolicki obchodzi w dniu 2 listopada święto umarłych, czyli tak zwany Dzień Zaduszny. Myliłby się atoli ten, ktoby sądził, że święto to zostało zaprowadzone dopiero za czasów chrześcijaństwa. Badacze starożytności opowiadają, że na setki lat przed przyjściem na świat Pana Jezusa, ludy starożytne obchodziły uroczyście święto umarłych. Kościół, ustanawiając dzień modlitwy za wszystkie dusze zmarłych, dawny zwyczaj pogański oblókł tylko w chrześcijańską szatę.

U pogan, którzy nie znają prawdziwej wiary, panuje jednak zwyczaj modlenia się za zmarłych, gdyż prawie wszystkie ludy wierzą w życie pozagrobowe. Z tego też względu u Indyan panuje zwyczaj, że żony zabijają się na grobach mężów, aby im być towarzyszkami jeszcze i na tamtym świecie.

U nas, Słowian, w dawnych czasach oprócz żony lub branki, do mogiły nieboszczyka kładziono konia i zbroję, aby i nadal mogła służyć swemu panu.

Pogańskie niegdyś Litwa i Żmujdź obchodziły w końcu jesieni uroczystość Dziadów, poświęconą pamięci zmarłych swych przodków. Zgromadzano się wtedy na cmentarzach, gdzie z największą uroczystością i powagą, osłoniętą jakąś straszną tajemnicą, zastawiano na mogiłach potrawy i napoje, wśród różnych modłów i zaklinań. Wszystko to dowodzi, że nawet w nieoświeconem pogaństwie były pojęcia o życiu przyszłem, a nawet pewne dni w roku poświęcano samej tylko pamięci umarłych.

Kościół katolicki, szanując wszystko, co szacunku godne, nie mógł nie pochwalić tej ogólnej wiary ludów w przyszłość i obcowanie z duszami, a nawracając one narody, już mu łatwiej było je przekonać o życiu pośmiertnem i nieśmiertelności. Aby zaś nowonawróconych bardziej przywiązać do prawdziwej nauki, pozostawił uroczystości, uświęcając je tylko po katolicku.

Opat Kluniacki przeznaczył w r. 998 na uroczystości owe dzień 2 listopada.

Zapewne, że nigdy w roku ludność nie wygląda poważniej i smętniej, jak w owym dniu. Już w wigilię przejmują do głębi duszy żałobne nieszpory i ów katafalk w oczach ludu wznoszony na środku kościoła. A podczas procesyi, gdy kapłan kropi święconą wodą, kogóż nie przejmie dreszcz na te słowa: »Dzień, on dzień gniewu Pańskiego«.

Nazajutrz, to jest w sam Dzień Zaduszny, snuje się od rana zamyślony lud po kościołach, lecz zamiast pogańskich uczt i pijatyk, na grobach katolików modli się wspólnie za nich, aby im Bóg darował kary czyścowe. Każdy rozdaje biednym jałmużnę, na jaką go stać, aby ci modlili się za zmarłych.

Kapłani, w pośrodku wiernych swych braci, wznoszą za dusze zmarłych najczystszą ku niebu ofiarę, modlą się i innych do modlitwy zachęcają.

Wśród ludu, w niektórych okolicach, krążą bardzo ładne podania o Dniu Zadusznym. Opowiadają na przykład, że dusze zmarłych o jednej godzinie zbierają się razem do parafialnego kościoła, gdzie na modlitwie krótkie chwile spędzają, wolne będąc od mąk, jakieby przez ten czas cierpieć musiały.

W innych stronach krąży podanie, że w dniu tym około północy same światła zapalają się w kościele, organy zaczynają grać a zmarli śpiewają nabożne pieśni. Za chwilę wychodzi duch zmarłego księdza i odprawia Mszę świętą. Nikt z żywych nie śmie zakłócić ich modlitw pobożnych.

To samo podanie mówi, że pewna dziewczyna, wiedziona ciekawością, poszła w Noc Zaduszną do kościoła. Gdy ją tam duchy spostrzegły, rzuciły się na nią, aby ją rozszarpać. Dziewczyna w nogi, a duchy za nią. Wylękniona zrzuca z siebie części ubrania a duchy rozszarpują je na części. Gdy już miały dopaść uciekającą, uderzyła dwunasta a duchy znikły.

Oczywiście w podaniach tych niema ani słowa prawdy a przytaczamy je dlatego, aby okazać, jak silną jest wiara w życie pozagrobowe.

Krzyżacy na Litwie.

XLVI. WYROK.

Pojata przed sądem. — Badanie sędziów i obrona Pojaty. — Obrona przeora. — Wyrok.

Nieszczęśliwa Pojata nie wiedziała wcale, że się zbliża chwila rozstrzygnienia jej losu. Nie mogła mniemać, żeby mistrz był tak dalece przesądnym, aby ją obwiniał o czary. Słyszała o nim zawsze jako o mężu pełnym światła i sprawiedliwości; owszem, będąc pewną, że ojciec jej znany mu jest dobrze, pochlebiała sobie, że wybadana o postępkach Sundsteina, odesłana będzie do Wilna, wreszcie nie mogła przypuścić, żeby się o nią wkrótce nie upomniał ojciec, albo Jagiełło, i nie starał się jak najprędzej wydźwignąć z niedoli; atoli sama nie wiedziała, co w niej wzniecało okropną tęsknotę. Z powrotem Ulrycha przybył jej przyjaciel Milkier i często ją odwiedzał, ale jego obojętne słowa i twarz posępna niewielkiej udzielały pociechy. Właśnie w tej chwili powierzała mu smutne przeczucia; nie chciał jej Milkier zatrważać doniesieniem o zwołanej kapitule, prosił tylko, żeby się odtąd wystrzegała Katry, której było najmilszą rozkoszą przywodzić do zguby niedoświadczone osoby, gdy nagle dozorca sądowy, w towarzystwie kilku zbrojnych ludzi, stanąwszy przed drzwiami, ukazał jej rozkaz instygatora i wezwał z sobą na sądy.

Struchlała na tę wiadomość i zwróciła na Milkiera oczy; lecz wzrok jego smutny zdał się mówić, że posłuszną być trzeba; jednakże wzruszony jej stanem, pytał dozorcy, czy wolno mu pójść za nią? Nie przeciwił się żądaniu jego sługa sądowy, ale mu razem dał do zrozumienia, że nie na wiele już się przyda tam jego obecność. Szła zatem Pojata, otoczona strażą, mało wiedząc, co się koło niej dzieje. Zbrojnym otoczona ludem, przechodziła spiesznie długie korytarze, nie słysząc, tylko smutny na marmurze odgłos kroków żołnierza, i wkrótce weszła do izby, w której zebrani sędziowie czekali na jej stawienie.

Słabe światło, dobywające się przez wąskie i głębokie okna, mdły cień rzucało na siedzący za obszernym stołem szereg starców surowego oblicza, na czele którego znajdował się mistrz wielki. Wszędzie panowało głębokie milczenie. Przerwał je instygator, obwieszczając głośno, że obwiniona Litewka jest już przed sądem; mistrz, spojrzawszy na nią okiem badawczem, kazał wnieść sprawę. — Zapytana o imię, stan i czy nie była już kiedy przed sądem — odpowiadała zalęknionym głosem; wystąpił zatem na środek izby pisarz sądowy i te jej czytał zarzuty:

Naprzód, że występną miłością dla zakonnej osoby komtura Sundsteina zajęta, usiłowała zachwiać jego ślubami, a to w zamiarze przeciągnienia go na pogańską wiarę i w tym celu czarów używała.

Powtóre, że, nie mogąc go do odstąpienia wiary świętej nakłonić, uzbroiła na niego zbójców.

Potrzecie, że uwięzioną już będąc, weszła w porozumienie z guślarką Katrą i czyniła z nią zmowy dla wzięcia wiadomości hasła twierdzy Malborga.

Po przeczytaniu zarzutów instygator obrócił głos do obwinionej, pytając, czy ma co na swoją obronę.

— Nic nie mam, prócz niewinności mojej.

— Niewinność jest to słowo, mające wtedy niejakie znaczenie, kiedy zarzuty, na dowodach oparte, mocniejszem świadectwem obalone być mogą — odezwał się mistrz słabym, lecz poważnym głosem — ale póki niema tego wyjaśnienia, słowo to, niewinność, w obliczu prawa jest próżnym odgłosem.

— Skądże więc świadków dostanę? — rzekła z boleścią Pojata — wszystko, co mnie otacza, pragnie mojej zguby! Porwana z rąk ojca, ciągle od pół roku dręczona, z jednych więzów w drugie wtrącana, kogóż mam koło siebie, prócz dręczycieli moich! Niebo jest świadkiem, że nie znam win, które mi zarzucono.

— Ja będę świadkiem twojej niewinności — odezwał się przeor — ja w imię Boga fałsz i osobistość tym zarzutom zadaję.

Zwróciła Pojata oczy w stronę, z której głos obrócony przychodził i, poznawszy przeora, pokrzepiona niejaką nadzieją, wzniosła ręce ku niemu, wołając:

— O, mój ojcze! tyś patrzył na moje udręczenia, widziałeś moje krzywdy, moje łzy i błagania!

— Wielebny ojcze przeorze! — przerwał instygator — jesteś oskarżycielem przeciwnej strony, nie możesz niniejszej być świadkiem.

— Prawda i oczywistość — rzekł przeor — z każdej strony ma miejsce.

— Przeorze malborski — zabrał głos mistrz — nakazujemy wam milczenie. — Nie trwóż się, córko Lezdejki — mówił, obracając się do dziewczyny. — Znam twego ojca i nie dam ci krzywdy uczynić; powiedz mi tylko, w jakich widokach chciałaś Sundsteina na wiarę swoją namówić?

— I jażbym śmiała chrześcijanina, zakonnika, na wiarę moją przeciągać? jakążbym z tego odniosła korzyść? Ach! gdyby Litwini w swej wierze tak byli od chrześcijan spokojni, jak chrześcijanie od nas być mogą, nie byłoby przyjaźniejszych narodów na świecie!

— Czemużeś więc nie spieszyła do ojca, kiedy cię chciał komtur odsyłać? — zapytał jeden z sędziów.

— Jażbym nie spieszyła do kochanego ojca, gdyby mi powrót był dozwolony? Ach! ten zarzut jest okrutniejszy nad wszystko!

— Zapewne! spieszyć do ojca — odezwał się instygator — jest obowiązkiem każdego dziecka, jednakże nie zaprzeczysz pewnie, że są zdarzenia, a nawet jest powinnością niekiedy opuścić rodziców, aby pójść za przeznaczeniem losu własnego.

— Mój los był zawsze w ręku ojca mojego, a ja go nadto kochałam, żebym sama dostrzegać chciała drogi przeznaczenia mego. Ale cóż to mieć może do moich zarzutów?

— Ma więcej, niż się spodziewasz — odpowiedział instygator — twoje pomieszanie jest tego dowodem, lecz się nie lękaj. Człowiek niedołężny jest często niewolnikiem namiętności, a zawsze sługą nadziei. Różność stanu, ojczyzny, wiary, mało go powściąga, skoro raz słabości ulegnie. Nie czujesz-że się w tym przypadku, nieszczęśliwa panno?

— Mów śmiało — rzekł jeden z sędziów. — Ludzie ludzkiej słabości umiemy litować się, umiemy jej nawet pobłażać, ale naprzód prawdy żądamy. Twoje zamiary mogły być najlepsze, ośmiel się tylko; może uznawszy błędność twej wiary, szukałaś sposobności chrześcijanką zostać? czy cię nic nigdy do zamiłowania naszych prawd nie wiodło?

— Cóż to? chcecie ze mnie wydobyć skrytości mej duszy? — rzekła we łzach Pojata. — Oddzielcie wasze podejrzenia od nieszczęsnych mych uczuć. Moi i wasi bogowie będą nas sądzić.

— Więc komtur Sundstein nie chciał cię nigdy zrozumieć? — zapytał instygator.

— Komtur Sundstein? — powtórzyła z boleścią Pojata. — Ach! on mnie nigdy nie chciał słuchać, ilem mu tylko razy wspomniała o mym powrocie; żadne prośby, żaden okup, nie zdołały go zmiękczyć!

— To rzecz wcale inna — rzekł mistrz — nie trzeba, moje dziecię, zbaczać z drogi pytań. Powiedzże nam, czy wtenczas dopiero żądałaś być odesłaną,

kiedyś już zupełnie straciła nadzieję zniewolenia Sundsteina, czy pierwej?

— Bogowie! możnaż mnie tak udręczać? I jażbym w mojem uwięzieniu nie żądała jak najprędzej wracać do Kiernowa! Cóż naprzód obiecywać sobie, o co się starać mogłam najbardziej, jak nie błagać komtura, żeby mnie odesłał do ojca? Nie chcę go obwiniać, lecz nigdy mnie nie raczył słuchać, kiedym mu tylko o tem wspomniała.

— To znowu nie jest odpowiedź na moje pytanie — ponowił mistrz. — Dlaczegóż więc, jeśliś zawsze ta żyła nadzieją, uzbroiłaś na niego zabójców?

— Ja miałam na niego uzbrajać zabójców? — powtórzyła pełna zgrozy dziewica — bogowie, przebaczcie mu jego niesprawiedliwość!

— Jednakże ten, który podniósł rękę na komtura — rzekł jeden z sędziów — był twym powiernikiem, twym sługą.

— I uderzył właśnie wtenczas — rzekł drugi — kiedyś już miała być zostawiona własnemu losowi.

— Nigdy w mojej myśli, ani w moich ustach nie powstało życzenie czyjejkolwiek śmierci. Uciskał mnie mój nieprzyjaciel, jam bogów prosiła, żeby go natchnęli litością; wszystko zaś, co Radziejko czynił, niewiadome mi było.

— Któż tedy był ten Radziejko? — zapytał instygator.

— Ja nie wiem — odpowiedziała Pojata.

— To być żadnym sposobem nie może — rzekł instygator; — on cię pocieszał, ożywiał, naradzał się z tobą, a tybyś nie wiedziała, co to za człowiek?

— Tak jest — mówiła dziewica — on był moich cierpień jedyną osłodą, on mnie pocieszał, utwierdzał męztwem, a przecież tak jest w istocie, żem go wcale nie znała. Że uderzył w komtura, to prawda; lecz ani mu tego pochwalam, ani wiem, z jakich to uczynił powodów.

— A ten drugi, czy równie ci jest nieznany? — zapytał mistrz.

— Kto taki? — powtórzyła zmieszana Pojata.

— Ten, co gonił Sundsteina, kiedy z tobą uježdżał? — przerwał jeden z sędziów.

— O tym — mówiła dziewica — nie mogłabym powiedzieć, że go nie znam wcale, gdyby był tem, czem się być zdawał.

— Jego imię? — zapytał instygator.

— Jego imię nic nie ma wspólnego z tą sprawą.

— Dlaczegóż chcesz je ukrywać? — zapytał jeden z sędziów.

— Dlatego, że sama nie wiem, jak się nazywa.

— Winną jest! tłómaczyć się nawet nie umie — rzekł mistrz do jednego z sędziów.

— Miłość jej wzgardzona w zemstę się zmieniła — odpowiedział zagadniony.

— Teraz nam powiedz — ponowił instygator — jakie tobą powodowały zamiary, kiedyś chciała dostać hasła straży zamkowej i czyś go dostała?

— Anim go dostała, ani dostać pragnęła.

— To być nie może — rzekł mistrz. — Pomnij, córko Lezdejki, że od szczerości wyznania zależy twej kary zmniejszenie.

— Świadectwa nadto są jawne — dodał instygator — żebyś mogła zaprzeczać, jakoś się naradzała z guślarką Katrą o dostanie hasła. Słyszał waszą rozmowę dozorca straży.

— Trzebaby do sprawdzenia zarzutu stawić tu Katrę — rzekł jeden z sędziów.

— Znikła ze swego mieszkania — odpowiedział instygator — daremne były wszystkie śledzenia.

— To samo dowodzi — rzekł mistrz — że się winną uznała. Ja ci powiedziałem, że od szczerości wyznania zależy twej kary zmniejszenie; teraz ci oświadczam, że mamy tortury i katusze, które są dostateczne prawdę z ust wydobyć. Oszczędź sobie mąk, a nam przykrości.

— Żeś się z guślarką porozumiewała o dostanie hasła, to już nie podpada żadnej wątpliwości, o to tylko idzie, abyś wyznała, w jakim to czyniłaś zamiarze. Masz więc odpowiedzieć, czyś dlatego hasła wiadomość mieć chciała, żebyś uszła z więzienia, czyli dla udzielenia go komu innemu.

— Czyńcie ze mną co chcecie — odpowiedziała nieszęśliwa. — Niczego dotąd nad prawdę nie rzekłam i do ostatniego tchnienia prawdę zachowam. Przyszła do mnie raz ta kobieta, prosząc, żebym jej pomogła dostania hasła; odpowiedziałam, że gdybym nawet miała hasła wiadomość, nigdybym jej nie udzieliła, bo znam dobrze świętość tej skrytości. Pytałam ją potem, na co się to jej przyda? — odpowiedziała, że cudzoziemiec jakiś, chcąc się dostać na zamek, prosił ją o tę uczynność. Oto jest wszystko, co wam mogę powiedzieć.

— Pięknych się dowiaduję rzeczy! — zawołał mistrz. — Ani wątpić, że to jest szpieg litewski. Czy odmieniono hasło dnia tego? — zapytał rycerzy.

— Niezwłocznie odmienione zostało — odpodziano.

— Co za zbrodnia! co za zuchwałość! — powtarzał mistrz oburzony. — Któżby pomyślał, żeby jedna dziewczyna, jedna niewolnica, mogła na największe niebezpieczeństwo podać stolicę! Ale znam śmiałość niewiast litewskich. To rzecz jasna, ona umyślnie na to dała się pojmać i do Malborga wprowadzić, żeby tę twierdzę wydała. — Mów, niegodziwa, kto był ten cudzoziemiec?

— Nie znam go! — rzekła zalękniona Pojata.

— Niech wszędzie Katry szukają — zawołał mistrz — ona nam resztę objaśni. Niechaj dowódcy pułków roześlą czaty ku granicom Litwy i wprost mnie niezwłocznie doniesienia czynią; a teraz kończmy dzieło.

Kazał zatem pisarzowi zbierać kreski członków sądu za uznaniem winną lub niewinną obwinionej; wtem powstał z miejsca swego przeor i prosił pokornie o dozwolenie mówienia. Przez wzgląd na wiek jego i znaczenie w Zakonie, nie przeciwił się mistrz temu żądaniu. Starzec w te słowa głos zabrał:

— Sędziowie! nim dacie wasz wyrok w tej sprawie, posłuchajcie głosu, którym już raz ostatni za nieszczęśliwą do was przemawiam. Pomnijcie, bracia! że na serca nasze patrzy w tej chwili Bóg sprawiedliwości. Jakiż jest występek jej dowiedziony? czyjąż on krzywdę zrządza i kto cierpi przez niego? Jedna nikczemna guślarka, umyślnie może do niej posłana, jeden posłuch wątpliwy, oto jej winy. Sędziowie! Patrzcie na mój włos siwy, na lata wśród was w bojaźni Boga spędzone; tego Boga wzywam na świadka niewinności Pojaty. On się wam w jej łzach objawia i mówi do was: baczcie, co czynicie, ja was będę sądził! Pomnijcie nakoniec, że ta nieszczęśliwa ma ojca, którego jest jedynem dzieckiem, pomnijcie, że cnoty tego starca czci Litwa cała i nie zaniedba o córkę jego orężem się upomnieć, a dwa złączone narody mścicielami jej zostać mogą. Przebóg! czyliż możecie tak mało dbać o los braci waszych, jeńców wojennych w Polsce i Litwie więzionych? Nie wiecież, że te narody, świeżą rozjątrzone wojną, bardziej, niż kiedy zemstą przeciw nam pałają? Kto wie, może jednej tylko łzy niewinności braknie, żeby szala przeznaczenia naszego przechyloną została, a wtenczas lata wojny i krew miliona rodaków może się jeszcze za nią uiścić nie zdołają! Bracia! często jedna niesprawiedliwość staje się przyczyną klęski narodu! Strzeżcie się mniej baczną srogością ściągnąć ją na głowy wa-

sze. A jeśli wam koniecznie trzeba ofiary, patrzcie na skromne tej dziewicy oblicze, spojrzyjcie na Sundsteina i sądźcie, z której strony może być występek. Widziałem na zamku Jagiełły, jak ciągle Pojata unikała jego oświadczeń bezwstydnych i w mieszkaniu Habdanka byłem świadkiem obłudnych jego postępków, któremi ona, choć niewolnica, ciągle gardziła. Jakichże innych dowodów żądacie? jaki zysk przynieść wam zdoła ucisk nieszczęśliwej, gdybyście ją nawet winną potępiali? Pomnijcie, bracia na odpowiedź Pana, daną oskarżycielom Samarytanki; oddajcie ją ojcu w pokoju. Oby usta moje błogosławiły zawsze pięknym czynom Zakonu naszego! lecz w tej chwili...

Nie mógł dalej mówić cnotliwy starzec, tak wielki gwar powstał; musiał milczeć, tymczasem zbieranie kresek szło swoim porządkiem; pisarz sądowy czytał imię każdego i głos jego odbierał, po obliczeniu kresek, liczba ich nierównie większą okazała się za uznaniem oskarżonej winną; gdy więc za taką doniesioną została, zawołał głośno iustygator:

— Jest winną!

— Niech się więc prawu zadosyć stanie — rzekł mistrz, powolnie podnosząc nieco miecz ze stołu.

Na ten znak okropny, głuchy szmer powstał w zgromadzeniu; ciekawi, zadość już mając, opuszczali izbę, sędziowie brali się do ksiąg prawnych, instygator zaś, czyniąc swój obowiązek, odprowadzić kazał Pojatę do warownego więzienia. Potok łez ciężkich oblał jej lice, włożono jej na ręce okowy i wprowadzono do podziemnego lochu; już więcej ani się tłumaczyła, ani błagała litości, zdało się nawet, że się zgadzała ze swym losem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Tren Maryi Konopnickiej.



Opłakujcie polskie łany,
Góry, rzeki i limany,
Sine bory, ptacy leśni,
Skon Królowej polskiej pieśni.

Zapłakajcie, złote zorze,
I ty jasne słonko Boże,
Błonia, gronia, łąk kobierce,
Już przestało bić Jej serce.

Płaczcie wszystkie polskie strony,
Ludu polski uciśniony,
Zgasła wielka twa Patronka,
Co pragnęła dla cię słonka...

Łkaj fujarko, ty z wierzbiny,
Jak po matce, płacz dzieciny...
Zapłacz pieśni ty ludowa,
Już zamilkła twa Królowa...

Zgasła Ona — Słonko lasze,
Co złociło strzechy nasze...
Ponad wioski ich zagony
„Latała jak ptak zraniony"...

Kto z was teraz pieśnią wspomni,
Wy sieroty, wy bezdomni,
Wy nędzarze, wy tułacze,
Kto was wspomni? kto zapłacze?

Już Jej dusza w jasne zorze —
Uleciała w niebo Boże,
Lecz jej pieśni pozostały,
By na Polską ziemię łkały...

Jantek z Bugaja.



MACIEK BZDURA GADA:

Kazali mi kiejsik gospodyni pójść z byckami na jarmark do Niebylca. A ze ja człowiek pracowity i posłuszny, włozyłem wiechcie do butów, okręcił nogi łonuckami, naciągnął buty i tak wyśtucerowany gotów byłem do drogi.

— Maciek, ty Załogu — padają gospodyni — a przeciebyś se jadackę ochędozył, bo ci się jesce wcorajse kluski na ni świcą.

I powidzcie, cy to nie kłopot z babami? Gospodyni zamiast pojrzyć na portki, cy mam całe, to oni na gębę ino patrzą. Juz to baba zawse zostanie babą.

Za maluśką godzinkę byłem aligancko wyśtyftowany, powiązałem bycki na powrózek i hajda na jarmark. Choć to dzień był piękny i robocy, ale do miasta sło tyle luda, ze jaz mię dziwota brała. Widziało mi się, ze w cały wsi som same handlarze.

Z pocątku nie gadałem nic, ale jak mi się zacnęło, to z tem i owem zacąłem gadać i pytać się go, za cem on idzie na jarmark.

— A trzaby kupić jaką ciarapkę, niby miseckę, na zimiaki — pada Matusowa — bo mi te niećciwiary bękarty wcoraj starą zbiły.

— Ho, ho, — myślę sobie — po ciarapkę za śtyry grajcary akuratnie warta iść na jarmark i cały boży dzień po próżnicy tracić. Ale nie rzekłem nic, bo na coby się to zdało, kiej teraz się wsyćkiem zdaje, ze oni mądrzejsi, jak ja.

Dopiro wiecorem spenetrowałem, po co Matusowa śli do miasta. Jak wracali wiecór, to cała droga była ich, a łeb jem tak chodził na wsyćkie strony, jak nieprzymierzając koła u zydowskiego wozu.

Jagem się znowu spytał Bartkowy, po co idą do miasta, to mi tak rzekli:

— Wis Maciuś, uzbierało się ta ze dwadzieścia jajków, jest łosełecka masła, trzaby to sprzedać a za to kupić soli i coś z pod świńskiego łogona, zeby jałowizny nie jeść.

— E, gadacie — gadam jem — jajka i masło trza było sprzedać w Kółku, abo choćby i u Melecha, solibyście takoj tamok kupili, a nie zmarnilibyście dnia bożego.

— Et, cichoj, Maciek, co się ty na tem znas! Człek w mieście sprzedaż zrobi, kupno zrobi, a do tego jesce i jaką uściwą gębę ujźry.

— Aha — myślę sobie — teraz juz penetruję, po co Bartkowa idom do miasta. Wiecór przekonałem się, zem się nie omylił, bom ujźrał uściwą gębę Bartkowy powykrzywianą przez wódkę, jak ogórek.

I której ino babym się spytał, po co idzie do miasta, to wsyćkie miały takie drobiazgi do jarmacenia, ze pozal się Boze. Złość mnie rozebrała i kumendyja, bez co te ludzie świętego casu nie załują, ale się wleką na jarmak, jak dziady na odpust.

Tak robią baby, a chłopy jesce gorzy.

HISTORYA POLSKA W OBRAZKACH.

35.

Stanisław Leszczyński, wypędzony z Polski przez Augusta i Moskali, udał się do Francyi, gdzie był dobrze przyjęty. Pan Bóg taką mu zgotował pociechę, iż z jego córką Maryą ożenił się Ludwik XV.

Po ślubie Ludwik rozpisał listy do rozmaitych Polaków, namawiając ich, aby Leszczyńskiego królem obrali, przyrzekając także, że go wyprawi nie z gołemi rękami, ale z mocnem wojskiem, gdyż właśnie wtedy umarł August II.

Stanisław Leszczyński, nie mogąc jechać przez Niemcy otwarcie, przybył skrycie do Warszawy, przebrany za kupca. Zaczął się tedy Sejm elekcyjny i zaraz jedna część Polaków okrzyknęła królem Leszczyńskiego, ale inni, lubiący saskie pijatyki i hulatyki, obrali sobie Augusta III, syna zmarłego króla, Aby swój wybór utrzymać, napisali oni do carowej moskiewskiej Anny, prosząc ją o przysłanie na pomoc Moskali.

Jakoż carowa, czyhając tylko na to, aby co urwać na Polsce, natychmiast wysłała swoich do Polski. Nieprzychylni Leszczyńskiemu Polacy połączyli się z Moskalami, co widząc Stanisław, cofnął się do Gdańska, gdzie go czekały okręty z Francuzami.

Gdy się to działo, August III nadjechał z Saksonii i koronował się na króla w Krakowie. Wojska moskiewskie poszły pod Gdańsk i rozpoczęły oblężenie.

Mieszczanie wzięli się do obrony miasta, ale na pomoc Leszczyńskiemu przybyły tylko dwa tysiące Francuzów, przeto niepodobna było oprzeć się wielkiej sile Moskali i Sasów, którzy bardzo gwałtowne przypuszczali szturmy. Widząc Gdańszczanie, że nie poradzą, poddali się Augustowi III, a Leszczyński, bojąc się wpaść w ręce Moskali, którzyby go byli pewnie żywo nie wypuścili, spuścił się po sznurze z jednej baszty i uszedł do Francyi. Tam dano mu księztwo Lotaryngii, aby panował jako król.

Do dziś dnia wychwalają Francuzi mądrość i sprawiedliwość Leszczyńskiego, którego Polacy nie chcieli mieć za króla, a który na to zasługiwał.



Oświadczyny Ludwika XV o Maryę, córkę Leszczyńskiego.

W Dzień Zaduszny.

W ten Dzień Zaduszny poświęć twe westchnienie
Tym, co odeszli na wieki z tej ziemi
I głaz mogilny przytłumił ich tchnienie!
Tym, którzy byli najbliższemi twemi,

Matce twej poświęć jedną łzę żałoby,
Która dla ciebie miała każde tchnienie,
Bo łza synowska otwiera dziś groby
I skały kruszy serdeczne westchnienie.

Módl się za ojca, który śpi w tym grobie:
Niech mu przebaczy każde przewinienie
Bóg za te trudy, które oddał tobie
I w łasce swojej da wieczne zbawienie.

Może masz żonę pod ciemną mogiłą,
Z którąś lat tyle razem życia strawił,
Dla której serce twoje czule biło,
Módl się więc, aby Bóg ją dobry zbawił.

Może ty, żono, masz pod ciemną darnią
Męża drogiego, co ci był ostoją?...
Proś niech go Pan Bóg nie karze męczarnią,
A Bóg wysłucha dzisiaj prośbę twoją.

A i ty matko, stojąca na grobie,
Za twą dzieciną ślij modły do Pana:
On ulży twojej serdecznej żałobie...
Módl się za dzieckiem, o matko kochana!

Ty, biedna siostro, i ty też mój bracie
Za najbliższemi módlcie się gorąco,
Bo ich w tych grobach pewno wielu macie,
Za nich poświęćcie łze z oczu płynącą.

W ten Dzień Zaduszny niech od modłów ziemia
Zadrży w ogromny jeden akord Boży;
Niech się świat cały w jeden hymn przemienia
I niech się duszom dziś niebo otworzy.

Pogasną światła, mrok okryje ziemię
I cisza wokół grobowa nastanie;
I wszystko znowu na nowo zadrzemie
Tylko modlitwa na zawsze zostanie.

A więc tym, którzy odeszli z tej ziemi
I głaz mogilny przytłumił ich tchnienie,
Tym, którzy byli najbliższemi twemi,
W ten Dzień Zaduszny poświęć twe westchnienie.

Ant. St. Bassara.

Obrady Sejmu.

Im więcej zbliża się ku końcowi sesya sejmowa tem żywsze zainteresowanie budzi reforma wyborcza do Sejmu, nad którą w ubiegłym tygodniu prawie bez przerwy obradowano. Największą przeszkodą w załatwieniu tej reformy jest samolubstwo niektórych stronnictw, z których każde chciałoby przeprowadzić swoją reformę, nie oglądając się na innych. Z tego powodu przychodzi często między posłami radykalnymi do przykrych scen, o których nawet wstyd pisać. Czasem wyzywają się posłowie tak zwani postępowi rozmaitymi przezwiskami, jak zepsute chłopaki, których w domu nie ma kto poskromić. Marszałek, hr. Badeni, musi ich z tego powodu upominać i strofować.

Reforma wyborcza tak owładnęła wszystkimi, że nietylko w Sejmie nie obraduje się już nad innemi sprawami, ale nawet na prace w komisyach posłom nie starczy czasu. Mimo wielu trudności, w ostatnich dniach porozumienie między stronnictwami postąpiło znacznie naprzód i jeżeli nie nastąpią nowe przeszkody, kraj nasz będzie miał nową reformę wyborczą, może już za kilka dni.

Jak już wspominaliśmy dawniej spokój w obradach sejmowych zakłócają przedewszystkiem posłowie ruscy. W ubiegłą środę posłowie ruscy zachowali się jak banda awanturników. Gdy mimo ich woli postanowili nasi polscy posłowie dalej obradodować, wtenczas poczęli jak oparzeni wrzeszczeć co sił, grać na trąbkach i piszczałkach, świstać i trzaskać pulpitami. Śmiech i politowanie wzbierały na widok tych posłów ruskich, rozdzierających gardła, jak wrota, czerwonych od wrzasku, z wyszczerzonemi i zakrwawionemi od wysiłku oczami. Marszałek Badeni i nasi posłowie pozwolili im krzyczeć do syta a co ciekawsze mimo tej kociej muzyki obradowali dalej i uchwalili szereg ustaw dosyć ważnych, co tem bardziej złościło wrzeszczącą bandę, bo chcieli oni krzykami uniemożliwić dalsze obrady. Gdy marszałek oświadczył, że porządek dzienny został wyczerpany, rozległy się po całej Izbie grzmiące oklaski, a gdy Marszałek zeszedł z trybuny składali mu wszyscy posłowie serdeczne podziękowania i życzenia, że tak znakomicie prowadził obrady.

Na drugi dzień posłowie ruscy dostali takiej chrypki, że ledwie cicho mogli mówić i przez kilka dni musiały im żony robić zimne okłady na szyję, aby im powrócić mowę. Na następnem posiedzeniu Sejmu, które się odbyło w kilka dni później, zaniechali dalszych krzyków widząc, że takiem postępowaniem tylko narażają się na wielką śmieszność.

Równocześnie w ubiegłym tygodniu poza Sejmem odbywały się konferencye rozmaitych klubów poselskich nad ważną sprawą budowy kanału dla okrętów od Dunaju do rzeki Odry i Wisły. W konferencyach brali udział dwaj ministrowie polscy: minister skarbu Biliński i minister dla Galicyi Dr. Dulęba, nadto marszałek krajowy hr. Badeni i namiestnik Dr. Bobrzyński. Minister skarbu przedstawił, że ze względu na wysokie koszta, wynoszące około 1400 milionów, budowa tych kanałów nie będzie przeprowadzoną, gdyż rząd nie ma tak wielkiej ilości pieniędzy. Dalej oświadczył minister, że rząd zgadza się dać tym krajom, przez które miał przechodzić kanał, odszkodowanie pieniężne, którego te kraje mogą użyć n. p. na regulacye rzek itp. Galicya otrzymałaby odszkodowanie 120 milionów koron. Jedne kluby widząc, że rząd nie może z powodu braku pieniędzy przeprowadzić budowy tych kanałów, zgodziły się na odszkodowanie, inne kluby natomiast chcą koniecznie budowy kanałów.

Grunwald na wsi.

Tarnoszyn k. Uhnowa, 12 paźdz. 1910.

Przy pięknej jesiennej pogodzie ustawiliśmy zeszłej niedzieli pamiątkowy krzyż grunwaldzki. Dzięki finansowemu poparciu okolicznego obywatelstwa, oraz zespolonym zabiegom uhnowskiego Sokoła, duchowieństwa i nauczyciela z Tarnoszyna, wypadła uroczystość nadzwyczaj udatnie. Wszystko, co polskie, pospieszyło, tak z sąsiednich wsi, jak i z najbliższego miasteczka Uhnowa, do tej polskiej placówki, aby ten obchód w Tarnoszynie uświetnić. O 8 rano wkroczył liczny zastęp uhnowskiego Sokoła i ochotniczej straży pożarnej ze sztandarami do Tarnoszyna, a powitany przez włościańską banderyę, udał się do tamtejszego kościółka, skąd ruszył malowniczy pochód, wraz z niesionym przez włościan pamiątkowym krzyżem, na miejsce, gdzie go ustawiono. Nastąpiło poświęcenie krzyża, odprawienie polowej mszy u jego podnóża, kazanie okolicznościowe, a wreszcie na zakończenie udatne mowy włościanina i reprezentanta uhnowskich mieszczan, którzy dla zadokumentowania jedności narodowej wystąpili licznie w swoich tradycyjnych kapotach i złożyli wieniec pod ustawionym krzyżem.

Popołudniu tego dnia okazała sokola drużyna na błoniach ćwiczenia wolne i lancami ze zlotu krakowskiego, zachwycając widzów zgodną sprawnością. Wieczorem odbyło się przedstawienie w obszernej szopie tamtejszej krochmalarni, dane wyłącznie przez amatorów włościan.

Tyczyn, 12 października 1910.

Dnia 9 b.m. odbyła się u nas uroczystość grunwaldzka, w której, prócz miejscowych towarzystw, wzięły liczny udział: Sokół z Budziwoja, straże ochotnicze z Rzeszowa i Błażowej, młodzież szkolna całej parafii, a nadto licznie zszeregowane włościaństwo obu obrządków, pieszo i konno. Po sumie, odprawionej na dziedzińcu kościelnym, w czasie której ks. kanonik Kneudlich wygłosił patryotyczne kazanie, ruszono pod wspaniały pomnik grunwaldzki, gdzie po jego poświęceniu przemówił gorąco do zebranych sędzia Dr. Głogoczowski. Następnie przemawiali: burmistrz Dr. Solecki, adwokat Dr. Idziński i poseł Bomba.

Wieczorem w sali Sokoła wygłosił odczyt o Grunwaldzie ks. proboszcz Kneudlich, dziatwa szkolna odegrała ku ogólnemu zainteresowaniu »Rycerzy Jadwigi«, a uroczystość zakończyły śpiewy chóru sokolego.

Radłów, 19 października 1910.

Dnia 16 b. m. we wsi Wietrzychowice obchodzono uroczyście rocznicę grunwaldzką. Uroczystość zwiastowały wczesnym rankiem strzały moździerzowe i pobudka orkiestry straży pożarnej z Radłowa. Około godziny 9 rano wyruszył pochód, składający się z banderyi krakowskiej, kosynierów, straży pożarnych, wreszcie kilkuset włościan z posłem Bojką na czele, przy dźwiękach orkiestr strażackich z Radłowa i Borzęcina do kościoła na uroczyste nabożeństwo z kazaniem. Po nabożeństwie dokonał ks. kanonik Pilch poświęcenia statuy Królowej Korony Polskiej, postawionej na pamiątkę zwycięztwa pod Grunwaldem, kosztem zarządów gminnych i mieszkańców parafii. W akcie poświęcenia uczestniczyło kilka tysięcy ludu i wysłuchało ze skupieniem pięknych i patryotycznych przemówień ks. kan. Pilcha, posła Bojki i p. Nowaka, sędziego z Ropczyc. Po południu odbył się kiermasz przy tłumnym udziale ludu, i konne wyścigi włościan.

Opowiadanie Szymona.

Szymon Gazda, co to lat wiele wójtował we Wróblowicach, lubiał wieczorami opowiadać wesołe historyjki. Trzy jego dorodne wnuczki brały robótki do ręki, siadały obok starego i słuchały opowiadań.

— Dziadulu! — powiada Hanka — a opowidzcie no co do śmiechu.

Szymon usiadł na stołku, zakurzył fajeczkę i tak jął prawić.

— Haj dawniej, kiej to byłem jesce młody, to się mnie i śpasy różne trzymały. Trza wam wiedzieć, że wójtowałem roków dwadzieścia i śtyry, a za mojego rządzenia, cegom rozumem nie mógł zrobić, tom śpasami dokonał. Jagem objął wójtowanie, to Wróblowice miały tyle długów, ze ani ich zlicyć trudno było, a tu do tego trza jesce było kościół stawiać, bo stary, ze ino ino się nie zawalił. Poschodzili się gazdy do mnie i zaczęli biadać, skąd tu tyle pieniędzy nabrać na kościół.



— Skąd? — powiadam, — my damy trochę, a reśte dobrzy ludzie dołozą.

— Jacy dobrzy ludzie? — pytają Walek Pyrka — a cy to u nas są dobrzy ludzie? Jest we wsi zydów sześć a ci to przecie nie dadzą.

— Coby nie dali — rzeknęło mi się niechcący — a ja powiadam, ze zydy dadzą ze dwa tysiące talarów.

Rozśmiali się gazdowie, ale chycili mnie za słowo i padają, ze są ciekawi, cy ja obiecanki dotrzymam.

— Ha! — myślę sobie — śpasowałeś Symuś, a teraz gmina z ciebie zaśpasuje.

Ale od cegóz rozum! Na drugi dzień posed ja do Śmula, co to był najbogatsy, bo na najwięksy harendzie siedział i padam o tem i o owem, a najbardzi narzykom na bide i zebym rad pojechać z babom i dzieckami do Hameryki. Jak to ino Śmul posłysał, dalejze dogadywać i wychwalać Hamerykę, a wkońcu poprostu pedzioł, co onby grunt odemnie kupił. Ni tak, ni siak mu pedziołem i posedem do chałpy. Nazajutrz ino świt przylaz do mnie Śmul z Ickiem i nuz o grunt zagadywać. Nibym się ociągał, niby handrycył, ale naostatek przystołem, ze się zbędę ojcowizny. Zydy jaz się oblizały.

— Ny, a ile go chcecie? — pada Śmul.

Zacząłem się niby namyślać, a potem padom:

— Dacie dziesięć tysiąców talarków, to sprzedam.

— Ny, hast ty gewidzioł — pada Śmul — dziesięć tysięców, kiedy to nie warta więcej, jak siedm.

Tak gadał, ale wiedzioł, ze grunt warta więcej jak pietnaście. Ja takze wiedzioł, ale udawałem, ze się na tem nie rozumię. Zacęlimy się targować i doszło do tego, ze jem padom:

— Dam wam za 8 tysięcy talarów, ale to będzie za grunt i chałpę, ale sprzedawszy grunt, nic mi po gadach, to jest niby po bydle. Jak chcecie kupić to kupujcie, ale za kazde źwirzątko, jakie mam, dorzucicie talarka.

Zydy niby jesce chciały się targować, ale w duchu się ciesyły, ze głupiego goja oświabiły. Ugodziliśmy się, poślimy do matereusa i spisali ugodę. Zydy dały zadatku 3 tysiące talarów, a reśtę miały dać za miesiąc i kupione wziąść w posiadanie.

Po miesiącu wzięły zydy ze sobą matereusa do mojej chałpy i przyniesły piniądze. Śmul zacął zaraz rachować:

— Trzy tysiąców my dali to się jesce patrzy pięć tysięcy talarów, za dwa kobyły — dwa talary, za śtyry krowy — śtyry talary, za dwa, za psieproseniem, świnie — dwa talary, za pietnaście kur — pietnaście talarów, to wsićko razem na kupę pięć tysięcy dwadzieścia trzy talary — i zacął wykładać piniądze na stół.

— Zackać — powiadam — niech pan matereus i panowie kupcy pozwolą, bo ja mam jesce więcej zwirzątków gospodarskich — i wiede ich do ogródka, gdzie były pscoły.

— W jednem ulu — padam jem — jest około 20 tysięcy pscół, to w dziesięciu ulach będzie pewnie 200 tysięcy, to się mi jesce patrzy 200.000 talarów.

Narobiły zydy ajwaj, ale matereus jem powiedział, ze w kontrakcie jest wyraźnie pedziane, ze za kazde zwirzątko gospodarskie mają dać talara a pscoły są takze zwirzątka gospodarskie. Uśmiałem się z zydów, no i stanęło na tem, ze z zadatku 3 tysięcy, tysiąc jem wróciłem, a dwa musieli dać na kościół. Wódką zarobili na katolikach, to choć w taki sposób cząstkę wrócili katolikom. Co prawda to mi potem nieraz chodziło po głowie, zem nieućciwie zrobił, ale jak minęło parę roków, to same zydy śmiały się z mojego śpasu i padały, ze jem piniędzy nie zal, bo to na chwałę Bożą.

Tajemnice Morza.

(Opowiadanie profesora francuskiego).

(Ciąg dalszy).

BIEGUN POŁUDNIOWY.

Wybiegłem na platformę.

Tak! morze wolne. Zaledwie gdzieniegdzie kilka kawałków kry, kilka ruchomych lodników, w dali rozległe morze, świat ptasząt w powietrzu, krocie ryb w wodzie przybierającej, stosownie do dna, mocno błękitny lub oliwkowo zielony kolor. Termometr Clesiusa wskazywał trzy stopnie powyżej zera. Było to jakby względną wiosną, zapartą poza tem lodowiskiem, którego kształty rysowały się na północnym horyzoncie.

— Jesteśmy przy biegunie? — zapytałem kapitana z bijącem sercem.

— Nie wiem — odpowiedział. W południe oznaczę położenie statku.

— Czy słońce pokaże się przez te mgły? — rzekłem, spoglądając na szarawe niebo.

— Cokolwiek go się pokaże, wystarczy mi — odpowiedział kapitan.

W odległości dziesięciu mil morskich od »Nautilusa«, wznosiła się w południowej stronie samotna wysepka, na wysokości dwustu metrów. Zmierzaliśmy ku niej, lecz z ostrożnością, bo morze to mogło być posiane skałami.

W godzinę potem dotarliśmy do wysepki; w dwie godziny później okrążyliśmy już całą. Wązki kanał oddzielał ją od znacznego obszaru ziemi, może stałego lądu, którego końca nie mogliśmy dojrzeć. »Nautilus« z obawy, aby nie osiąść na mieliźnie, zatrzymał się w odległości trzech węzłów od płaskiego wybrzeża, nad którem górowały piętrzące się wspaniałe skały. Spuszczono łódź na morze. Kapitan, dwaj ludzie z narzędziami, Konsel i ja wsiedliśmy do niej. Była godzina dziesiąta rano. Nie widziałem Ned-Landa. Kanadyjczyk nie chciał zapewne zdradzić się wobec południowego bieguna.

Kilka poruszeń wiosłem doprowadziło łódź na piasek, na którym osiadła. W chwili gdy Konsel chciał z niej wyskoczyć, zatrzymałem go.

— Panie — rzekłem do kapitana Nemo — panu należy się zaszczyt, byś pierwszy wstąpił na tę ziemię.

— Tak panie — odparł kapitan — i nie waham się dotknąć stopą tej ziemi biegunowej, bo dotychczas żadna istota ludzka nie zostawiła na niej śladu swych kroków.

Rzekłszy to, wyskoczył lekko na piasek. Silne wzruszenie przyspieszało mu bicie serca. Wdrapał się na skałę, sterczącą na pochyłości małego przylądka i ze skrzyżowanemi na piersiach rękami, pałającem wejrzeniem, nieruchomy, milczący, zdawał się obejmować w posiadanie te kraje południowe. Po pięciu minutach takiego zachwytu, zwrócił się ku nam.

— Czy zechcesz pan? — zawołał na mnie.

Wyszedłem na brzeg z Konselem; dwaj ludzie jego zostali w łodzi.

Kapitan Nemo stał oparty w milczeniu na odłamie skały i patrzył w niebo. Wydawał się zniecierpliwiony, rozdrażniony. Cóż począć? Zuchwały ten człowiek nie mógł tak władać słońcem jak morzem.

Nadeszło południe, a słońce nie zjawiło się ani na chwilę. Nie można było nawet rozpoznać miejsca, jakie zajmowało poza mglistą zasłoną. Mgła ta rozsypała się wkrótce w śnieg.

— Do jutra — rzekł poprostu kapitan — i wróciliśmy do »Nautilusa« wśród śnieżnej zamieci.

Nazajutrz, 20 marca, zimno było cokolwiek dotkliwsze. Termometr wskazywał dwa stopnie niżej zera. Rozeszły się chmury i miałem nadzieję, że tego dnia będziemy mogli dokonać spostrzeżeń.

Ponieważ kapitan Nemo jeszcze się nie pokazał, łódź zabrała tylko mnie i Konsela i wysadziła na ląd. Była godzina ósma zrana. Zostawało nam jeszcze cztery godziny do chwili, w której słońce mogło być obserwowane. Zwróciłem się ku obszernej zatoce, zachodzącej półkolem w granitowe skały wybrzeża. Na skałach lub piasku spała wielka ilość kotów i lwów morskich. Wpośród nich przesuwały się słonie morskie, rodzaj fok z krótką i ruchomą trąbą; olbrzymy gatunku, mające na dwadzieścia stóp obwodu, dziesięć metrów długości. Nie ruszały się z miejsca za naszem zbliżeniem.

— Czy te zwierzęta są drapieżne? — zapytał Konsel.

— Nie — odpowiedziałem — byleby ich nie zaczepiać. Ale broniąc swe małe, foka wpada w straszliwą wściekłość i często się zdarza, że rozbija na sztuki statek rybacki.

— Jest w swojem prawie.

O dwie mile dalej, przeciął nam drogę przylądek, osłaniający zatokę od południowych wiatrów. Schodził prostopadle w morze i pienił się u spodu od roztrącanej fali. Za nim rozlegały się straszliwe ryki, jakie wydawać mogło tylko stado przeżuwających.

— Brawo — odezwał się Konsel — koncert byków.

— Nie — odrzekłem — to koncert morsów.

— Biją się?

— Biją się, albo igrają.

— Jeżeli się panu podoba, trzebaby to zobaczyć.

— Trzeba zobaczyć, Konselu.

I zaczęliśmy wdzierać się na czarniawe skały, wśród nieprzewidzianych zawałów, po kamieniach oślizłych od lodu. Nieraz staczałem się, tłukąc sobie boki. Konsel, ostrożniejszy i mocniejszy w nogach, ani się zachwiał — i podnosił mnie, mówiąc: gdyby pan był łaskaw szerzej stąpać, toby pan mógł utrzymać lepszą równowagę.

Stanąwszy na szczycie przylądka, spostrzegłem obszerną białą równinę, napełnioną morsami. Zwierzęta te igrały ze sobą. Były to ryki radości.

Morsy podobne są do fok kształtem ciała i układem członków. Ale w dolnej szczęce nie mają kłów ani trzonowych zębów; a górne kły długie na ośmdziesiąt centymetrów, trzymają w osadzie trzydzieści trzy centymetry obwodu. Zęby te ze ścisłej nieprążkowanej kości, twardsze jak u słoni i nie tak prędko żółknące. są bardzo poszukiwane. Z tego powodu morsy ścigane zawzięcie i nieoględnie tępione, wyginą wkrótce; bo myśliwcy mordując stare i młode, zabijają ich co rok przeszło cztery tysiące.

Obejrzawszy ową osadę morsów, pomyślałem o powrocie. W razie bowiem, gdyby kapitan Nemo znalazł warunki sprzyjające obserwacyi, chciałem być przy niej obecny. Nie spodziewałem się jednak, by tego dnia pokazało się słońce. Zdawało się, jakby zazdrosna gwiazda nie chciała odsłonić ludzkim istotom tego nieprzystępnego punktu na globie.

Pomimo to postanowiłem już wrócić na »Nautilusa«. Szliśmy wązkim wzgórkiem, ciągnącym się po wierzchu urwistego wybrzeża. O wpół do dwunastej przybyliśmy do miejsca wylądowania. Łódź zatrzymana na piasku, wysadziła już na brzeg kapitana. Spostrzegłem go stojącym na bazaltowej skale obok leżały narzędzia. Wzrok jego utkwiony był w poziom północny, w bliskości którego słońce opisywało teraz swoją wydłużoną krzywiznę.

Stanąłem przy nim w milczeniu. Nadeszło południe, i słońce, podobnie jak wczoraj, nie pokazało się.

Była to fatalność. Obserwacya znowu nie mogła być dokonaną. Gdyby i jutro nie przyszła do skutku, wypadało pożegnać się stanowczo z oznaczeniem naszego położenia.

W istocie mieliśmy właśnie 20 marca. Nazajutrz, 21, przypadało porównanie dnia z nocą; słońce zniknęłoby pod poziom na sześć miesięcy, a z jego zajściem rozpoczęłaby się długa noc biegunowa. Zakomunikowałem te obawy kapitanowi Nemo.

— Masz pan słuszność, panie Aronnax — odpowiedział; — jeżeli jutro nie zmierzę wysokości słońca, nie będę mógł tego dokonać przed upływem sześciu miesięcy. Lecz jeśli zabłyśnie nam w południe, to właśnie dlatego, że losy żeglugi sprowadziły mnie na 21 marca na te morza, tem łatwiej mi przyjdzie oznaczyć nasze położenie.

Kapitan Nemo wrócił na statek. Konsel i ja pozostaliśmy do piątej na brzegu, chodząc tu i ówdzie, badając i studyując.

Nazajutrz, 21 marca, wyszedłszy o piątej rano na platformę, zastałem już kapitana Nemo.

— Wypogadza się trochę — rzekł do mnie — mam dobrą otuchę. Po śniadaniu wybierzemy się na ląd dla wyszukania dogodnego miejsca do obserwacyi.

Gdy na tem stanęło, poszedłem zobaczyć się z Ned-Landem. Chciałem go wziąć ze sobą. Uparty Kanadyjczyk odmówił i przekonałem się, że jego posępna małomówność i zły humor z każdym dniem wzrastały. Tym razem jednak zaciętość owa nie bardzo mnie gniewała. W rzeczy samej zawiele było fok na lądzie i nie należało wystawiać niebacznego myśliwca na taką pokusę.



... Kapitan rozwinął czarną flagę.

Po śniadaniu udałem się na ląd. »Nautilus« posunął się przez noc o parę mil jeszcze. Znajdował się teraz na pełnem morzu, o dobrą milę od brzegu, nad którym górował spiczasty cypel, czterysta do pięciuset metrów wysoki. Łódź niosła wraz ze mną kapitana Nemo, dwóch ludzi z osady i narzędzia.

O godzinie dziewiątej przybiliśmy do brzegu. Niebo wyjaśniło się. Chmury zbiegały na południe. Mgły pierzchały z nad chłodnej powierzchni wód. Kapitan Nemo zwrócił się ku cyplowi, chcąc go zapewne użyć na obserwatoryum. Wejście nań było trudne, po ostrych kawałach lawy i pumeksu, wśród atmosfery przesyconej częstokroć siarkowymi wyziewami dymic. Kapitan, jak na człowieka odwykłego stąpać po ziemi, wdzierał się na najspadzistsze pochyłości ze zwinnością której nie mogłem sprostać.

Potrzebowaliśmy dwóch godzin czasu, by dojść na szczyt tego cypla, w połowie porfirowego, w połowie bazaltowego. Stamtąd wzrok nasz ogarnął rozległe morze, ku północy wyraźnie rysujące na tle nieba krańcową swą linię. U stóp naszych pola olśniewającej białości; nad głowami blady błękit oczyszczony z chmur. W północnej stronie tarcza słoneczna, jak kula ognista, przecięta już ostrzem poziomu. Z łona wód wzbijały się setki wspaniałych wytrysków. W dali »Nautilus« niby uśpiony wieloryb. Za nami, na południe i wschód niezmierzony obszar ziemi, chaotyczne nagromadzenie skał i lodów, których końca nie można było dojrzeć.

Kapitan Nemo, przybywszy na wierzchołek cypla, oznaczył starannie jego wysokość za pomocą barometru — gdyż należało uwzględnić ją przy obserwacyi.

O trzy kwndranse na dwunastą słońce, widziane wtedy tylko przez załamanie się światła, ukazało się jak tarcza złocista, rzucając ostatnie promienie na ten ląd opuszczony, na morza, na których człowiek nigdy jeszcze nie postał.

Kapitan Nemo opatrzony lunetą z mikrometrem nitkowym, który za pomocą zwierciadła usuwał wpływ odblasku, obserwował gwiazdę zachodzącą zwolna pod poziom, po wydłużonej bardzo spiralnej. Trzymałem chronometr. Serce gwałtowniej mi biło. Jeżeli zniknięcie połowy tarczy słonecznej przypadnie jednocześnie z południem na chronometrze, jesteśmy u samego bieguna.

— Południe! — zawołałem.

— Biegun południowy — odpowiedział kapitan Nemo poważnym głosem — podając mi lunetę, która pokazywała gwiazdę dzienną, przeciętą przez poziom na dwie równe połowy.

Widziałem, jak ostatnie jej promienie zwieńczyły cypel, a potem ciemność zaczęła zwolna wstępować na jego pochyłości.

W tej chwili kapitan Nemo, kładąc mi rękę na ramieniu, rzekł:

— Ja, kapitan Nemo, 21 marca 1886 roku, dotarłem do bieguna południowego pod dziewięćdziesiątym stopniem i obejmuję w posiadanie te strony globu, wyrównywujące szóstej części znanych lądów.

— W czyjem imieniu, kapitanie?

— W mojem własnem, panie Aronnax.

To mówiąc kapitan Nemo rozwinął czarną flagę, z wyhaftowaną złotem literą N. Potem, zwróciwszy się ku słońcu, której ostatnie promienie muskały horyzont morza, zawołał:

— Żegnaj mi słońce! Zniknij promienna gwiazdo! Zajdź pod to wolne morze, i niechaj noc sześciomiesięczna roztoczy swe cienie nad moją nową dziedziną!

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z TYGODNIA.

Nowy gwałt rządu rosyjskiego. Ks. biskup sufragan mohylowski Cieplak, kapłan gorliwy i uczony, odbywał niedawno objazd parafii w guberni mińskiej. Przy tej sposobności, jak zwykle bywa, wiele nauczał w kazaniach i przemowach do wiernych. Gorliwość ta nie podobała się urzędnikom rosyjskim i zrobili doniesienie do Petersburga, że biskup prowadzi polityczną agitacyę. Za to rząd rosyjski zrzucił ks. biskupa z zajmowanego stanowiska i odebrał mu pensyę. Nie miał do tego żadnego prawa, gdyż usunąć biskupa może tylko Ojciec św. Ale prześladowczy rząd szyzmatycki nie pyta o prawa!

Muromcew, znakomity polityk rosyjski, prezes pierwszej Dumy państwowej w Petersburgu, zmarł przed kilku dniami. Był to prawdziwy przyjaciel i obrońca wolności, to też i Polakom okazywał wiele życzliwości. Za to zachowają go w najlepszej pamięci.

Królewicz serbski Aleksander już pozdrowiał i zapewne rychło stanie na nogach. Królewicz jest człowiekiem spokojnym, nie tak awanturniczym jak jego starszy brat Jerzy, który gwałtownem usposobieniem swojem o mało co nie wywołał wojny z Austyą i za to musiał się zrzec praw do następstwa tronu na rzecz brata Aleksandra.

Rewolucya portugalska objawia już rozprzężenie. Żołnierze i marynarze popełniają gwałty. Napady na klasztory są na porządku dziennym. Rząd nie może stłumić nadużyć, gdyż jest zależny od żołdactwa. Wygnany król Manuel oświadczył, że dopóki będzie korzystał z gościnności na ziemi angielskiej, nie będzie czynił żadnych kroków w kierunku powrotu do Portugalii i odzyskania tronu.

Rząd hiszpański wydał władzom pogranicznym rozporządzenie, by przepuszczały uciekających z Portugalii księży i ułatwiały im dalszą podróż, zaopatrując we wszystko potrzebne.

Wielki strajk kolejowy wybuchł we Francyi. Zrobili go urzędnicy i robotnicy kolei państwowej Zachodniej, chcąc zdobyć różne ulgi. Gotowali się oddawna, aż wreszcie na dany znak stanęły wszystkie prawie pociągi. Rząd wziął się energicznie do walki ze strajkującymi, kazał przewozić pocztę samochodami i ogłosił, że powoła pod broń na ćwiczenia wszystkich rezerwistów, służących przy kolei Zachodniej. Gdyby do tego doszło, musieliby oni pełnić tę samą służbę, co pełnili jako cywilni, tylko byliby pod prawami wojskowemi a zatem krócej trzymani. To oczywiście musiało położyć koniec strajkowi. Takim samym sposobem pomógł sobie rząd węgierski przed kilku laty, gdy tamtejsi kolejarze zaczęli strajkować. Strajk francuski trwał kilka dni, ale już wyrządził wielkie szkody, gdyż dużo towarów nie doszło na czas, albo się popsuło.

Niepokoje w Persyi, trwające od paru lat, doprowadziły do tego, że stosunkami w tym kraju zajęły się państwa, najwięcej mające do czynienia z krajem perskim. Mianowicie rząd angielski zagroził Persyi, że obsadzi wojskiem swojem nadmorskie okolice i południowe prowincye perskie, jeśli w przeciągu trzech miesięcy nie nastąpi spokój w Persyi. Spełnienie tej groźby byłoby pierwszym krokiem do podziału Persyi. Południową część zabraliby Anglicy a północną Rosyanie, którzy z dawna mają na to ochotę. To postąpienie Anglii nie podobało się Niemcom i nie ukrywają swojego niezadowolenia. Tak więc nieporządki w kraju azyatyckim mogą spowodować niesnaski między państwami europejskiemi a z niesnasek, jak wiadomo, łatwo powstają kłótnie, nawet bijatyki.

KRONIKA.

Z numerem następnym powiększamy rozmiary „Roli" w ten sposób, że ogłoszenia umieszczać będziemy na osobnej, kolorowej okładce, przez co prenumeratorowie zyskają trzy stronice do czytania.

Zbrodnia na Jasnej Górze wywołała niebezpieczne dla Kościoła skutki. Oto rząd rosyjski skorzystał z okazyi, aby się wmieszać w sprawy zakonne i przysłał z Petersburga wysokiego urzędnika, Petrowa, aby »skontrolował«, co się dzieje w klasztorze. Ten wysoki komisarz zaczął od tego, że uznał władzę biskupa za nieważną w obrębie klasztoru i kazał wyjechać księżom świeckim, którym biskup powierzył opiekę nad kościołem i kaplicą z cudownym obrazem. Musieli się temu poddać, ale oczywiście ks. biskup Zdzitowiecki poskarżył się na to nadużycie przed Ojcem św. i odzyska władzę nad klasztorem, który tak potrzebuje jego opieki i nadzoru.

Śledztwo sądowe prowadzone jest ciągle dalej i do Krakowa nadeszło już wezwanie rządu rosyjskiego, aby sąd krakowski wydał sądom rosyjskim Damazego Macocha. Sądzony on będzie w Królestwie Polskiem i według praw rosyjskich czeka go ciężka robota na Syberyi t. zw. »katorga«. Aresztowany w Hamburgu Załóg, który popełnił świętokradztwo i pomagał Macochowi w mordowaniu brata, jest, jak się zdaje, jakimś innym Załogiem, nie tym winnym. Kto to jest, okaże się wtedy, gdy go przywiozą do Częstochowy.

To, co porobili źli, zbrodniczy ludzie na Jasnej Górze, nie zmniejsza w niczem czci, jaką ma cały naród polski do Najświętszej Panienki. Świeżo z gorącego powołania zakonnego wstąpiło dwóch nowych do klasztoru. Jednym jest hr. Aleksander Szymanowski, właściciel dóbr ziemskich, człowiek stary, sędzia honorowy z Królestwa. Oprócz tego ks. Zawadzki z pod Krakowa, dotychczasowy Kameduła, stara się z przyzwoleniem władzy duchownej o przyjęcie do klasztoru jasnogórskiego.

Pieszą pielgrzymkę do cudownego obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej odbył z miasta Irkucka w Syberyi Walenty Śniegocki. Pielgrzymka trwała 10 miesięcy. Jest on synem zesłańca z roku 1863 i przyrzekł umierającemu ojcu na jego życzenie, że pielgrzymkę tę odprawi i teraz właśnie stanął na miejscu przeznaczenia, ślub swój spełniając.

Henryk Sienkiewicz napisał powieść dla młodzieży pod tytułem »W pustyni i w puszczy«. Myślą przewodnią, która kierowała znakomitym autorem w napisaniu tej powieści jest ta, że w naszej literaturze nie mamy wcale prawie takiej wielkiej »robinsonady«, jakie mają literatury angielska i francuska i żeby brakowi temu zapobiedz, napisał Sienkiewicz tę polską »robinsonadę«. Bohaterem jej jest dziecko polskie, chłopiec czternastoletni, zrodzony z ojca Polaka, który krew przelał za Ojczyznę, i matki Francuzki. Dzieje tego chłopca, który wraz z małą ośmioletnią przyjaciółką angielską, rzucony jest w wiry rewolucyjne Egiptu, Nubii i Sudanu w epoce Mahdiego, są osią opowiadania.

O czem mówią w bóżnicy. W Tykocinie podczas nabożeństwa w sobotę, rabin, będący od roku wdowcem, ogłosił w bóżnicy z ambony:

— Jak wam wiadomo, od roku blisko już nie mam żony, przeto proszę was, żebyście się wystarali dla mnie o jaką kobietę, bo inaczej nie będę mógł pełnić obowiązków w bóżnicy, ponieważ złe myśli — oby się to wam nie stało — chodzą mi po głowie.

Żydzi tamtejsi uśmiali się z tego, ale wystarano się dla rabina o żonę!

Podrożenie cygar. Cena cygar ma być z dniem 1 stycznia 1911 r. podwyższona. Między innemi t. zw. »krótkie« zamiast 5 hal. będą kosztowały 6 h. Część dochodów z podniesionych cen ma być przeznaczona na podwyżkę prowizyi trafikantów.

Psi figiel. W jednem z miast w Królestwie obywatelowi Buczkowskiemu zdechł pies. Buczkowski, chcąc wyrządzić figla rzeźnikowi Michałowi Janie, wpakował psa do worka i zawiózł go rzeźnikowi, oświadczając, że otrzymał od przyjaciela zabitego wieprzka, lecz, że nie lubi wieprzowiny, więc daje Janowi wieprzaka, aby mięso z niego sprzedał swoim odbiorcom.



Ucieszony rzeźnik, trzymając się przysłowia, że »darowanemu koniowi w zęby się nie zaglą̨da«, nie zajrzał do worka, co zawiera, lecz rzucił wieprzka do lodowni. Buczkowski, wyszedłszy od rzeźnika, rozpuścił między kobiety wieść, że Jana sprzedaje wieprzowinę za pół ceny, więc w chwilę później cały skład rzeźniczy zapełniły kobiety i mężczyźni, domagając się taniej wieprzowiny.

Jano wydobył worek z lodowni i na stół rzeźniczy wytrząsnął z niego... psa zdechłego... Ludzie sądząc, że rzeźnik zakpił z nich w taki sposób, rzucili się na niego i rozpoczęła się walka, z której kilka osób wyszło z podbitemi oczami i porozbijanemi głowami. W dodatku rozjątrzeni goście powybijali okna w składzie, zniszczyli lodownię i połamali narzędzia rzeźnicze. Rzeźnik, który sporo guzów oberwał, teraz z potężną pałką poszukuje Buczkowskiego i chce go wygrzmocić za tak niewczesny żart. Ale Buczkowski stara się schodzić mu z drogi, a że miasto duże, więc się spotkać trudno.

Wynalazek Polaka. P. Henryk Skąpski, inżynier leśnictwa w Tarnowie, otrzymał patent na wynaleziony przez siebie przyrząd, t. zw. »autometer«, który automatycznie, bez pomocy geometry, mierzy pole i rysuje odrazu mapę, t. j. robi zdjęcie terenu. Budowa przyrządu jest dosyć prosta. Do przyrządu wkłada się papier rysunkowy, poczem oprowadza się go na kole po granicy mierzonego gruntu i jednocześnie otrzymuje się gotowe zdjęcie, czyli mapę. Wynalazek ten wywoła przewrót pewien w miernictwie, bo pomiary gruntów staną się czynnością tylko mechaniczną. Zrozumiały to niektóre firmy zagraniczne, belgijskie i niemieckie, które zgłosiły się do wynalazcy z propozycyą sfinansowania wynalazku.

Salomonowy wyrok. Trzech podróżnych przyszło do karczmy pod »Trzema świńskiemi łbami« (w pobliżu Gdańska), żądając noclegu, ale tam było jedno tylko łóżko, a każdy chciał na niem spocząć. Powstała kłótnia i wreszcie sprawa wytoczyła się przed gospodarza, który przyszedł sprawiedliwie ich rozsądzić. Naprzód tedy zapytał jednego:

— Czem wy jesteście i jakie są wasze rzeczy?

— Jestem landszturmista — odpowiedział — leżałem ośm miesięcy wskutek rany na manewrach.

— Oho, kiedyście ośm miesięcy leżeli, to mieliście czas wypocząć.

— A wy?

— Ja jestem burmistrz ze Skarszew, który przez trzy lata w sądach zasiadałem.

— Toście jeszcze bardziej wypoczęli — rzekł gospodarz.

— A waszmość? — zapytał ostatniego.

— Ja jestem Bonifrater, który przeszło lat 10 chodzę zbierać jałmużnę na szpital.

— Co? Ty dziesięć lat chodzisz? Toż ty najbardziej potrzebujesz spoczynku. A więc tobie, przyjacielu, należy się łóżko.

Jak zrozumiał, tak rozsądził.

Mnich prawosławny. W Kijowie przyaresztowano opata słynnego tamtejszego klasztoru prawosławnego, bo skradł 300 tysięcy rubli. Widać, że obok starań o dobro wieczne dbał też gorliwie o dobra doczesne. Gazety rosyjskie milczą jakoś o tej sprawie, chociaż o nieszczęsnych wypadkach na Jasnej Górze z lubością się rozpisują. O tem, co się dzieje we wszystkich prawie klasztorach prawosławnych wolą milczeć, a trzeba wiedzieć, że w roku bieżącym w trzech jeszcze klasztorach męskich popełniono zbrodnie gorsze od Macochowych.

Na wiarę żydowską przeszła, według doniesień gazet żydowskich, kuzynka rosyjskiego ministra wojny i wzięła ślub z milionerem żydowskim L. Brodzkim z Odessy. Czego to dla pieniędzy ludzie nieraz nie zrobią!

Samobójstwo mordercy. W ubiegłym tygodniu w więzieniu w Genewie w Szwajcaryi, odebrał sobie życie Włoch Luccheni, który przed dwunastu laty, w roku 1898, zamordował nad brzegiem jeziora genewskiego ś. p. cesarzowę austryacką Elżbietę. Straszny ten czyn zgrozą przejął całą Europę a ponurą sławą okrył strasznego anarchistę, który przelał krew niewinnej monarchini, kobiety, a przelał tylko dlatego, aby popuścić swej żądzy mordu. Pamiętamy prawie wszyscy, jak popełnił tę zbrodnię: Gdy cesarzowa w towarzystwie damy dworu, hr. Sztasay, wyszła z hotelu i kroczyła spacerem w kierunku pobliskiej przystani parowców, Lucheni nagle napadł na nią znienacka i zadał jej z niezwykłą siłą cios śmiertelny trójgraniastym pilnikiem. Ranną przeniesiono do hotelu — była już nieżywa.



Luccheni stanął przed sądem szwajcarskim. Wyznał on, że cesarzowę Elżbietę zamordował jako anarchista. Żalu ani skruchy żadnej nie okazał, przeciwnie, śmiał się ustawicznie, niemal chorobliwie, co oburzyło nawet jego obrońcę.

— Bogu dzięki, że pan nie jesteś Szwajcarem! — zawołał oburzony obrońca.

Sąd genewski skazał anarchistę - mordercę na dożywotnie ciężkie więzienie, w Szwajcaryi niema bowiem kary śmierci. Luccheni, usłyszawszy wyrok, wykrzyknął gromko:

— Niech żyje anarchia! Śmierć społeczeństwu!

Luccheni urodził się w r. 1874, jako nieślubne dziecko, w miejscowości włoskiej w pobliżu Parmy. Wychował się w zakładzie sierót i skończył szkołę. Potem wędrował po świecie, a w r. 1894 sam zgłosił się do służby wojskowej, którą odbył w koloniach w Afryce. Służbę pełnił wzorowo i okazał się bardzo dzielnym. To też po skończonej służbie dano mu posadę dozorcy więzienia w Rzymie. Luccheni jednak porzucił posadę i wywędrował do Lozanny w Szwajcaryi, gdzie poznał się z wybitnymi anarchistami. Odtąd marzył tylko o tem, aby wsławić się zamordowaniem jakiejś znakomitej osobistości. Wreszcie dokonał mordu.

W więzieniu zachowywał się dość spokojnie, czytał dużo. Czasem dostawał napadów wściekłości i rzucał się na dozorców. Objawy jakiegoś dzikiego szału powtórzyły się w ostatnich dniach, sądzono jednak, że Luccheni udaje. Domagał się bowiem oddawna, by nie więziono go w samotności i dano mu towarzyszy. Za karę zamknięto go też w celi obitej siennikami, aby sobie głowy nie rozbił. W ostatnim momencie słyszano z celi, jak śpiewał głośno pieśni anarchistyczne. Potem śpiew umilkł. Gdy dozorca wszedł do celi, zobaczył Lucchenigo, wiszącego u ram wentylatora (przewietrzacza) na pasku od spodni. Powiesił się, widać w napadzie szału, spowodowanego samotnością. Wszelkie próby przywrócenia go do przytomności były bezowocne.

Zamach dynamitowy na pomnik cesarza Wilhelma I wykonano w Osterfeld pod Duisburgiem. Pewien górnik usiłował go za pomocą dynamitu wysadzić w powietrze. Pomnik został silnie uszkodzony; między innemi urwał wybuch nogę u figury.

Piękną kiełbasę sprzedawał pewien rzeźnik w Duisburgu, w Niemczech. Do wyrabiania jej używał tylko mięsa, którego mu dostarczył rakarz. Niektóre kawały mięsa bywały już tak dalece zepsute, że roiło się w nich od robaków. Sąd skazał za to paskudnika na 9 miesięcy więzienia i 1500 marek kary pieniężnej. Ładnie Prusacy karmią ludzi!

Prokuratorowa złodziejką. O zachłanności pruskiej na cudze mienie donoszą gazety, co następuje: W instancyi apelacyjnej toczył się przed II izbą karną w Berlinie proces przeciwko wdowie po nadprokuratorze H. o kradzież parasola i dwóch lasek. Pewien podróżny zostawił w przedziale trzeciej klasy przez zapomnienie parasol ze złotą gałką oraz dwie laski. Do tego przedziału weszła zaraz potem oskarżona i gdy na następnej stacyi opuszczała pociąg, owe przedmioty zabrała ze sobą. Właściciel jeszcze tego samego dnia rozpoczął poszukiwania za zgubą, oraz dochodzenia i wykazało się, że zabrała je pani nadprokuratorowa H. Przypuszczano jeszcze, że stało się to przez pomyłkę i posłano do niej z zapytaniem, czy nie zabrała parasola ze złotą gałką, lecz temu stanowczo zaprzeczyła. Tymczasem przy rewizyi znaleziono owe przedmioty ukryte w szafie. Sąd ławniczy podyktował jej za to dwa tygodnie więzienia, a jej zięciowi tydzień za współwinę. Izba karna tę karę potwierdziła. Ładne rzeczy dzieją się w państwie miłości i bojaźni Bożej!

Ogród na głowie. »Genialny« wynalazek pewnej modystki w Lozannie wprowadzi prawdopodobnie przewrót w modzie zdobienia kapeluszy naszych pań. Opatentowany już wynalazek polega na tem, że w formę kapelusza wstawia się aluminiowy przyrząd z wodą, w którym umieszcza się świeże kwiaty, mogące tem samem zachować świeżość przez pewien czas, zależnie od ich trwałości. Gdy zwiędną, kapelusz odsyła się do ogrodnika. Wynalazek w porze wiosennej i letniej prawdopodobnie dla taniości i łatwych i częstych zmian przyozdabiania kapeluszy uzyska zastosowanie. Mniej odpowiednią dlań strefą będzie północna część Europy, zwłaszcza w porze zimowej.

Rozbójniczy napad na pociąg. Rozbójnicy spowodowali na wyspie Sardynii pod dworcem w Ussassai wykolejenie pociągu, którym jechał pewien urzędnik kolejowy, wiozący pieniądze dla wypłaty personalu kolejowego. Ponieważ większa część pieniędzy była już wydana, przeto wpadło w ich ręce tylko 6 tysięcy lirów. Z personalu kolejowego nikt nie odniósł szwanku.

Przelecieć nad oceanem Atlantyckim postanowił inżynier amerykański Wellman, wsiadł do wielkiego balonu ze sterem pod Nowym Jorkiem i puścił się z czterema towarzyszami ku Europie. Ale zamiar nie powiódł się skutkiem burzy i Wellmann i jego towarzysze musieli na pełnem morzu szukać ze swym balonem schronienia na parowcu »Trent«, który w ostatniej chwili niebezpieczeństwa uratował ich od śmierci. Balon znajdował się w powietrzu 69 godzin i przepłynął 720 kilometrów. Kilkakrotnie znajdował się w największem niebezpieczeństwie.

Król kajdaniarzy. Przybył do Nowego Jorku Herbert Broocks, który występuje w teatrach jako król kajdaniarzy, każe sobie ręce wobec widzów okuwać, a potem się z więzów uwalnia. Żeby rozgłosu więcej zdobyć, a narody na widowiska zwabić, dał on sobie ręce w kajdany okuć i tak bez kapelusza z gołą głową pędził po ulicach, a za nim czereda gawiedzi.



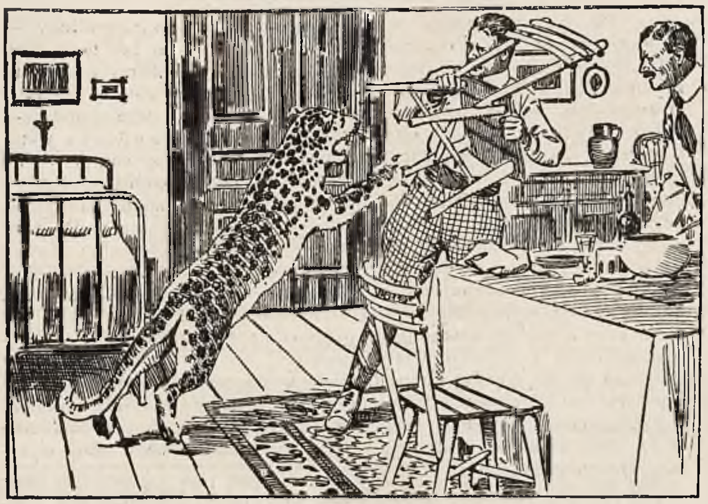
Policyantowi jednak się to publiczne przedstawienie nie podobało i sądząc, że to jaki zbieg z kryminału, aresztował »artystę« i stawił go przed sąd za nieprzyzwoite zachowanie się. Na stacyi policyjnej oświadczył Brooks, że mogą go śmiało do ula zamknąć w kajdanach, bo on, jako król kajdaniarzy, bezwłocznie się z nich uwolnić zdoła. Tymczasem policyant starannie kajdanki obejrzał i otworzywszy usta »królowi« gwałtem, wyjął mu z pod języka ukryty klucz od kajdanek, a potem kraty za nim zatrzasnął.

I król kajdaniarski całą noc w areszcie siedział, ale kajdan swych zdjąć nie mógł... Nawet gdy rankiem przed sędziego stawiony, jeszcze był okuty... I dopiero na rozkaz sędziego kajdany z niego zdjęto. Sędzia wydał wyrok uwalniający, gdyż sądził, że oszukańczy król kajdaniarzy już dostatecznie się ukarał.

Wdzięczność psa. Józef Reed, stróż w jednem z miast amerykańskich, zauważył kulejącego psiaka. Zabrawszy go do swej budki i obejrzawszy mu łapę, zobaczył tkwiący w niej kawał drzewa. Wyciągnął więc drewno, owinął łapę i puścił go. Za kilka dni pies, z łapą wygojoną, zjawił się przed stróżem z kawałkiem mięsa w pysku, i złożył go przed nim. Na drugi dzień przyniósł mu kość, na trzeci bochenek chleba, płacąc w ten sposób za wyleczoną łapę.

Walka z lampartem. W pobliżu osady Nyjeri w angielskiej Afryce wschodniej, siedział pewien młody kolonista z drugim, który go odwiedził, przy stole i opowiadał mu, jak wiele znajduje się w okolicy lampartów i że przed kilku dniami w jego ogrodzeniu pokazał się jeden z tych strasznych dzikich kotów.

Zaledwie powiedział te słowa, drzwi się otworzyły, do wnętrza izby jednym susem wskoczył ogromny lampart i stanął na środku izby. Obaj koloniści zerwali się z miejsc. Położenie ich było straszne, gdyż nie mieli żadnej broni pod ręką, a ruszyć się z miejsca żaden z nich nie śmiał. Stali zatem przestraszeni, ale... przestraszony był także i dziki zwierz, który widocznie tylko przypadkiem wpadł do ludzkiej siedziby. Stał bowiem przez krótką chwilę na tylnych łapach osłupiały, a potem rzucił się naoślep wprzód. Młodszy z kolonistów po chwili chwycił za krzesło i zamierzył się na lamparta. Ten jednak jednym ruchem łapy odtrącił stołek, przewrócił człowieka na ziemię i zaczął go szarpać pazurami.



Rozpoczęła się okropna walka o śmierć i życie. Dzielny kolonista nie tracił ducha, nogą od stołka odpychał i bił rozwścieklone zwierzę, które pazurami szarpało mu skórę, aż krew lała się strumieniami. Wreszcie stracił przytomność i omdlał. Nie zginął jednak, gdyż w rok potem tak opowiadał o swojem przebudzeniu:

»Po krótkiej chwili przyszedłem do przytomności, otarłem oczy, które krew zalewała i zobaczyłem, jak mój gość siedział przerażony na łóżku a dziki zwierz przykucnięty na ziemi gotował się do skoczenia mi na piersi. Gość w tejże chwili chwycił za kołdrę i rzucił ją sobie na głowę, aby mieć w niej przynajmniej jaką taką ochronę przed pazurami lamparta. Ja przyszedłem tymczasem nieco do sił, zdołałem poczołgać się dwa kroki i otwarłem drzwi na dole. W tej chwili wpadł ze strasznem szczekaniem wielki pies podwórzowy i rzucił się na lamparta, który widocznie nie miał ochoty do walki z dużem zwierzęciem, gdyż jednym skokiem rzucił się w otwarte drzwi i zniknął«.

Tak to niemal cudownym sposobem ocaleli obaj Anglicy, a ocaleli głównie dlatego, że nie stracili głowy i bronili się przed niebezpieczeństwem, chociaż wydawałoby się, że obrony już niema.

Pierwszy aeroplan w Japonii. Kapitan Hino, wysłany do Niemiec przez japoński zarząd wojskowy, zakupił aeroplan systemu Wrighta i przesłał go do swej ojczyzny. Hino ukończył również z dodatnim rezultatem kurs awiatyki. Wprawdzie nie otrzymał świadectwa, gdyż na to wymagany jest sześciomiesięczny pobyt w Niemczech, jednak odpowiedział warunkom komisyi egzaminowej.

Kto wynalazł piwo? Jedna z gazet włoskich, opierając się na historycznych danych, odpowiada w ten sposób na powyższe pytanie: Najprawdopodobniej pierwsi zaczęli przyrządzać piwo — Egipcyanie na 20 wieków przed narodzeniem Chrystusa. Wtedy piwo nosiło miano napoju peluzyjskiego — od miasta Peluzyi — stolicy piwnej. Podług innych źródeł pierwszą piwowarką była bogini pogańska Cerera. Z Egiptu piwo przeszło do Grecyi, a stąd do Włoch, Francyi, Hiszpanii i Niemiec. Z Niemiec, podług legendy, mieszkańcy nie puścili dalej piwa i zatrzymali wszystko u siebie. Tem się tłumaczy, że i dzisiaj Niemcy uchodzą za pierwszorzędnych piwoszów. Niema im czego zazdrościć! Wprawdzie piwo nie jest tak szkodliwe, jak wódka, ale i ono nie przyczynia się do zdrowia, zwłaszcza gdy go kto za dużo pije.

Złodziejskie plemię. Na północny Zachód od Indyi, wśród plemion, które poddały się koronie angielskiej, istnieje osobliwy naród, który sam zwie się Zakha-Khel-Afridis. Jest to lud bardzo wojowniczy i nie dalej, jak zeszłego roku, powstał z bronią w ręku przeciw panowaniu angielskiemu. Rząd angielski stłumił to powstanie, nie może jednak przeszkodzić, by Zakha-Khel-Afridisowie nie napadali bezustannie swych sąsiadów. Albowiem Zakha-Khel-Afridisowie, szczepowo spokrewnieni z dzikiemi plemionami górali afgańskich, są narodkiem już nie wojowniczym, ale wprost drapieżnym i pałającym nieopisaną żądzą cudzej własności. Jak opisuje znany angielski podróżnik, John Forster Fraser, najwyższą dumą i ambicyą tego plemienia jest historyczna już tradycya rabunków i złodziejstw, przezeń popełnianych. Kradzież i rabunek jest najzaszczytniejszem, rycerskiem zajęciem u Afridisów.

Najserdeczniejszą tęsknotą młodych dziewcząt jest, aby wyjść zamąż za najtęższego i najsprytniejszego złodzieja; najżarliwszem pragnieniem matek, aby synowie odznaczyli się w złodziejstwie. Człowiek, nieumiejący sprytnie kraść, lub śmiało rabować, zasługuje tam na najwyższą pogardę.

U Zakha-Khel-Afridisów istnieje też dziwny zwyczaj. Oto, gdy matce ze szczepu Afridisów urodzi się dziecko, zbierają się najpoważniejsi mężowie plemienia i wśród różnych dziwnych ceremonii i obrządków poślubiają noworodka złodziejstwu. Jest to rodzaj tamtejszego chrztu. W najuroczystszym momencie ceremonii, wszyscy uczestniczący w niej goście wraz z matką i dziecięciem, udają się do historycznej baszty. Matka składa nowonarodzonego do niedużej framugi, wybitej świeżo w murze baszty i, schylając się nad dzieckiem, krzyczy doń po trzykroć wielkim głosem:

— Bądź dobrym złodziejem i rabusiem!



Nasza rycina przedstawia właśnie tę chwilę, gdy matka urządza ten niby chrzest. Biedni ludzie, nie znając wiary prawdziwej, wymyślili sobie jakąś dziwną religię i czczą ją. A iluż jest katolików, którzy wiary swej nie szanują!

Zagadki do nagrody.

1. ZAGADKA rachunkowa.

Pewien chłopiec zapytany o wiek swój, swego ojca i swego dziadka, odpowiedział:

— Ja i mój ojciec mamy razem lat 54. Mój ojciec i dziadek mają razem lat 109. Ja i mój dziadek mamy razem lat 85.

Więcej nie chciał powiedzieć, a teraz pytanie ile każdy z nich miał lat?

2. ŁAMIGŁÓWKA.

(Nadesłał Mateusz Zięba z O. B.).

Z poniżej podanych części złożyć dziesięć wyrazów, których początkowe litery czytane z góry na dół oznaczą nazwisko poety polskiego:

Ce, cza, bruk, dor, e, gar, gła, i, i, ins, ko, le, men, ment, mia, pla, tarz, sto, wal, wóz, ze, zy.

Znaczenie wyrazów: 1. Miejsce handlu. 2. Imię męzkie. 3. Ptak. 4. Rzemieślnik 5. Narzędzie. 6. Nazwa książki 7. Narzędzie gospodarcze. 8. Miasto w Tyrolu. 9. Wyrób z kamiemia. 10. Sprzęt domowy.

3. SZARADA.

(Nadesłał Fr. Migdał z S.),

Pierwszego z trzeciem na towar używają,
Drugie z trzeciem w ogrodach stawiają,
Całość zazwyczaj w lesie zbierają.

Za dobre rozwiązanie zagadek przeznaczamy jak zwykle oprawną książkę z obrazkami. — Nagrodę może wylosować tylko prenumerator *Roli*. Termin nadsyłania rozwiązań do 5 listopada. Adres: **Redakcya *Roli*, Kraków, ulica św. Tomasza l. 32.**

Znaczenie zagadek z numeru 42 *Roli:* 1. Szarada: **Słoma,** 2. Zagadki: **Litera „n“,** 3. Szarada: **Karpaty,**

Wierszem otrzymaliśmy następujące rozwiązania:

1.

»Słoma« dla krów pasza,
A »masło« okrasza.
W zagadkach »n« macie,
A »Karpaty« znacie?

Karol Baron z P.

2.

Rolnik nieraz piosnkę nuci,
Gdy w stodole zboże młóci.
Ziarno wiezie do młynarza,
I piosenkę wciąż powtarza.
Słomę sobie zachowuje,
Nią zwierzęta swe hoduje.
Krowa dobrze hodowana
Dostarcza dla swego pana
Mleka wiele i dobrego.
Mamy zaś śmietanę z niego.
Ze śmietany gospodyni
Dobre masło nam uczyni.
»N« na końcu jest komina,
»N« z początku Niemca trzyma,
»N« pannę bardzo miłuje,
W niej dwa razy się znajduje.
Karpa wielu z nas widziało,
W karty także wielu grało,
Lecz karp daje pożywienie,
Karty dają zaś zmartwienie...
Sądzę, że każdego *Roli* czytelnika
Ta myśl jasna i zdrowa na wskróś przenika,
»Że karty szczęścia ludziom nie dają,
Że przez karty ludzie w nędzę popadają«.
Całość to Karpaty, ukochane góry,
Nad któremi buja orzeł srebrnopióry,
Okazałe zwierzę, co jest królem ptaków
I herbem zrodzonych w niewoli Polaków.

Józef Kobylański z L.

Oprócz tego rozwiązania w oznaczonym czasie nadesłali PP: Jan Maryniak z C., Michał Pietryka z B., Dawid Felczer z P., Adela Bezokówna z K. m., P. Stach z K., Wł. Lanoszka z S., Władysław Stefański z G., Jan Inglot z S., Michał Szymski z D., Jakób Wiśniowski z G., Józefa Hirszberg z K., Jan Gąsior z S., Jan Łopatka z J., Adam Warchoł z Z., Jakób Paff z Ch., Stanisław Luranz z B., Franciszka Andrusikiewicz z D., Władysław Dziwisz z W., Fr. Migdał z S., Władysław Bąbaś z H., W. Nowacki z Ż.

Nagrodę p. t. ***Wiązanka powieści*** wylosował p. **Jakób Paff** z Ch.

Odpowiedzi Redakcyi.

PP. Jan Maryniak w C.: Koronę markami otrzymaliśmy. — Leon Stepa w R.: Prenumeratę na rok 1911 można już teraz nadsyłać. — Wiktor Izdebski w T.: Numer 28 wysłaliśmy ponownie. Szymon Kuszek w Sz.: Nie wystarczy napisanie: *Proszę mi stale wysyłać Rolę* — ale trzeba równocześnie nadesłać prenumeratę. — Karol Leyko w M.: Na okaz wysłaliśmy. — Wł. Łanoszka w S. I owszem! Zagadki i szarady przyjmujemy i drukujemy chętnie, o ile są dobre. Trzeba jednak pisać koniecznie po jednej stronie papieru. — Jan Plebanek w N. M.; *Rolę* wysyłamy, lecz czekamy na należytość, gdyż z reguły na kredyt nie wysyłamy. — Jan Guściora w B.: Najlepiej zaraz, bo później, to trudniej. — „Podlotek“ w P.: Maciek się ucieszył i czeka na przyobiecaną fotografię. — Andrzej Pieróg w K.: Za adresy dziękujemy — wszystkim wysłaliśmy *Rolę* na okaz. Jan Kaczak w K.: Dziękujemy. — Wawrzyniec Żydek w G.: Nie rozumiemy o co się rozchodzi — prosimy napisać dokładniej. — Bronisław Lis w F.: Wysłaliśmy i myślimy, że się spodoba. — Józef Barnak w N.: Prosimy upominać się w kancelaryi wojskowej, gdyż my zaraz po otrzymaniu prenumeraty posłaliśmy wszystkie numera z października. Obecnie wysyłamy po raz drugi. — Jan Jezioro w O.: We wrześniu wcale reklamacyi nie otrzymaliśmy. *Rolę* wysyłamy jak najregularniej.

W dalszym ciągu prenumeratę nadesłali: Jan Maryniak z C. (1 K.), Barbara Siwkówna z G. S. (1 K.), „Narodowiec“ z C. (5 K.), Wilhelm hr. Romer z O. (2 K.), Jędrzej Stawowy z U. (4 K.),

Z powodu świąt żydowskich
targ na zboże i bydło jest zamknięty.

Przy zamówieniach prosimy powoływać się na ogłoszenia »Roli«.

W SĄDZIE.

— Oskarżają was o proszenie jałmużny.

— To kłamstwo, panie sędzio, podłe kłamstwo! Z jakiej racyi ja mam żebrać: mam dzięki Bogu, ręce i nogi zdrowe, ja i ukraść mogę.

— Icyk, czy ty wiesz jaka jest różnica od łóżka a zająca?

— Ja nie wiem.

— To jest taki różnicy, że łóżko szczeli sze z przeszczeradłem, a zająć szczeli sze z pistoletem.

W WINIARNI.

G o ś ć: Panie gospodarzu, czy sam jeden tylko pan pracuje w piwnicy?

G o s p o d a r z: Tak.

G o ś ć: Ale przecież przy chrzcie powinno być dwoje kumotrów!

Wydawcy: Dr Jan Hupka i Jan Kaczak. **Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.**

Drukarnia „Czasu“ w Krakowie, pod zarządem Aleksandra Świerzyńskiego.